

Maciej Pisarek

Wiosna na Langiewicza

Ach, wiosna, wiosna! Wiosna na Langiewicza. Nigdzie nie smakuje lepiej. Jak dla mnie. Jak na moje obsikane terytorium. Chodzę tamtędy często. Bo lubię. Bo wolę wybierać Langiewicza niż równoległą Filtrową, pewnie piękniejszą, szczególnie w maju, kiedy kwitną tam głogi. Ale Langiewicza jest bardziej moja. Poza tym na Langiewicza wiosna zaczyna się wcześniej, ba, nawet - zawczasu. Już w lutym dyrektorka przedszkola, które mieści się przy końcu ulicy od strony wschodniej, obwiesza łyse drzewa kwiatami z kolorowej bibuły. (Nie sama obwiesza, ma się rozumieć, ale rękami pana Mariusza, konserwatora. Wszyscy go tu znają.) Kwiaty z bibuły – genialne. Prosty pomysł, a ożywia całą ulicę. I powtarzany konsekwentnie, pewny jak następstwo pór roku. A do tego na ogrodzeniu przedszkola zawsze wiszą regularnie odświeżane wystawy prac plastycznych dzieci (wiadomo - kolory, spontan, rozkoszna naiwność itd.), starannie oprawianych w zgrzewane, plastikowe koszulki. Ktoś to robi. Komuś się chce! Kiedy więc się wchodzi na Langiewicza od tamtej strony, aż prosi się wziąć głębszy oddech i bardziej żyć. I żyć bardziej! A co dopiero prawdziwą, ciepłą, nabrzmiałą wiosną, kiedy słyhać szwargot dzieci z placu zabaw, a światło słońca musi się już przeciskać przez gęstniejące liście. Uwielbiam drzewa na Langiewicza. Są wspaniałe. Niedaleko przedszkola, po prawej, patrząc w kierunku zachodnim, na wylot do Krzywickiego, rośnie wielka topola (chyba jest to topola - z drzewami to czasem nie wiadomo, nie wszystkie, niestety, potrafią być tak wyraziste jak kasztan czy brzoza), z gęstym, zawsze zielonym kobiercem bluszczu, który szczelnie opatula jej potężny pień aż do podstawy korony. Ale to nic! Zaraz po lewej, gdzie w lewo odbija Prokuratorska, w narożniku kwitnie różany krzew. Kwitnie obficie, bezwstydnie, neonowym czerwonym wylewa się za ogrodzenie. Ale to w czerwcu. (A róża nie drzewo, wiem.) Za to dużo wcześniej, jeszcze na początku kwietnia, pierwsze kwitną magnolie. Te (drzewa, raczej) wyzierają głównie po prawej, tam, gdzie domy odsunięte są od ulicy. Ponad ogrodzeniami, poprzez zasłony innych drzew, fajnie wypatrywać ich wczesną wiosną. Kwitną? Już, czy jeszcze? A już bliżej

Krzywickiego króluje nad całą okolicą najbardziej niesamowite drzewo. Gigant! Przepiękny buk o czerwonych liściach. Uformowany w kulę, jakby ktoś lecający balonem zrobił tu sobie przystanek i gondolę zacumował na Langiewicza. Mam do niego od zawsze stosunek wręcz bałwochwalczy. Pogański, powiem bez ogródek. Nie umiem przejść obok bez spojrzenia w górę. (Niewykluczone, że wtedy wzdycham.)

I tak sobie szedłem tego dnia, tego ślicznego, rześkiego poranka, ścisiej biorąc. A musiał być to już czerwiec, bo wszystko już nie tylko kwitło, ale buzowało, pęczniało, ssało, pluło, ocipiało i ochujało, dokładnie tak. Ptaki darły się od czwartej, ślimaki pchały się pod nogi znacząc swoje oślizłe, spazmatyczne ścieżki, psy rzuciły się na suki lub cokolwiek co je przypominało w ich nieprzytomnym, psim pojęciu. Tak to było. Tak to jest. A ja szedłem, idę, sycąc się tym wszystkim. Idę od przedszkola, zostawiwszy tam dziecko pod dobrą opieką. I zwalniam kroku, by Langiewicza, nie za długa przecież, odrobinę się wydłużyła. Urosła, jak wszystko. Dogania mnie bardzo powoli, jakby od niechcenia, jakby zagubiona, senna, biała furgonetka. Usługi remontowe. Puste twarze za brudnymi od nocnego deszczu szybami. Nie spieszą się, nikt się nie spieszy. Może wyjechali na robotę za wcześnie i zabijają czas? Bo samochód nie jedzie nawet, toczy się. Koło za kołem. Może ich coś zaczarowało? Wiosna na Langiewicza? Zapachy?

A gdzieś blisko świętego buka, za siatką po mojej lewej, coś przemyka. Sunie w gęstwinie, slalomem między łodygami, z cichym szelestem roztrąca liście. Silne, gibkie, czarne. A jakie szybkie! Ledwie słońce go dogania połyskami na sierści. Kot! Młodziak! Ale dość już wyrosnięty, nie boi się niczego. On, może ona, smukła, czarna, błyskawica. Torpeda. Łowca! Łowca, łowczyni, Diana, Artemida, strzały... - niech już będzie, że on. Alfa. Omega. Drapieżnik, co w życiowej formie będąc, goni ofiarę. Niewidoczną tym razem wprawdzie, teoretyczną, zabawa taka. Nic nie ucieka, a on goni. Odwieczne łowy, odwiecznie goni. Pędzi, chyżo, leci, z wyciągniętą głową, głowicą bojową, poważny niby, skupiony na zadaniu, bezbłędny, pijany wiosną, mordem możliwym i wonią strachu, wymarzoną...

Wcisnął się pod siatkę tuż przede mną, zeskoczył z podmurówki - nawet nie dał mi, drań, przystanąć! Jednym susem przesadził chodnik i smyrgnął na drugą stronę. Ulicy. To znaczy, taki był plan. Bo po drodze – tej najkrótszej z możliwych,

wyliczonej precyzyjnie, co do milimetra, kocimi radarami - wypadło koło furgonki. Nadeprnęło mu głowę.

Zabolało kotka.

Aj tam, zabolalo. Aj tam, koło. Nadeprnęło. Wyrwał się! Superbohater. Wyrwał się i wyskoczył w górę. I to jak! Wystrzelił! Jak pięknie! Jak nikt. Jak mina przeciwpiechotna. Dla mnie przeznaczona. Miotnął się, z rozciągniętymi w krzyż łapami, jak totem, figura taneczna, primabalerina, z głową wyniesioną dumnie nad moje ramiona. Szarpnął nią, jeszcze w locie, na lewo i prawo - fuch, fuch! - żeby rozprostować, spłaszczoną niepotrzebnie, i troszeczkę tylko, twarz. Twarz, mordkę uwypuklić, wypchać sobą na powrót, żeby była jak normalnie. Bo tamto odrzucał. Odmawiał! Odmawiał zdecydowanie. Mowy nie ma! Taka mała pomyłeczka, chyba was posrało.

Jakieś krople poleciały. Na boki. Wzleciał, zawisł, uparcie.

Nawet dobrze nie opadł na chodnik i odbił jeszcze raz. Ale już słabo, ułożył się w łuk, z głową nagle za ciężką. Druga oś furgonki zaczęła mnie mijać. I minęła. A on, zupełnie jakby wiedział, co robić, jakby miał to wcześniej przygotowane - choć było inaczej, zupełnie na odwrót – już zsuwał się z chodnika na ulicę i wyciągał do snu, jak niemowlę zmęczone, albo staruszka. Nie był nawet tak bardzo smutny, ale, jednak - zmęczyło go to wszystko. Miał dosyć. Układał się przy krawężniku, przytulał się jeszcze do czegoś, kogoś, może mamy, nie chciał o tym myśleć, zresztą nie mógł. Nieruchomiał.

Ucichł? No nie, nie ucichł. Nie wydał żadnego dźwięku. Tylko ten ledwie słyszalny szelest przesywający zarośla. Myśliwy w biegu. Duch. Jak duch.

Ciskałem kurwami w chodnik. Ci z furgonki zobaczyli to w lusterku, ale poza tym nie zauważyli nic. I tak by nic nie zrozumieli. Co tu zresztą było do rozumienia? Nic. Nie zwolnili, nie przyspieszyli, toczyli się dalej. Skręcali w Krzywickiego kiedy ruszyłem z miejsca. Bo co miałem robić. Wszystko toczyło się dalej, jak zwykle. Zaraz miało być lato. A za mną leżało ścierwo.